

MEMORIAL
Generał Marii Wittek

FUNDACJA
Armi
tel.: 66
www.pl

ul. Człystele 205 t.
A. Rejerski oprac. II 2015



Abramowska Teczewica
Województwo Łódzkie
tel (058)

++

PSK
Sędzi

RYCZAK Jadwiga
zam. **Abramowska** (1945)

723/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI —

723/154

PSK

RYCZAK Jadwiga

zem. Abramowska

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa ✓ K. 2. S. 1-2

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

K. 3. S. 3

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację

✓ K. 21. S. 1-21

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja

✓ K. 4. S. 5

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]

VI Fotografie ✓

I/1 Relacja

Relacja w sprawie, Jadwiga Abramowska, Gdańsk - Zespół
13 XII 1994r. podpisana profesjonalnie

rys. oryg. K.2.5. 1-2

Relacja epistymologiczna do Fundacji 2 XII 1997r.



Jadwiga Abramowska
ul.
Gdańsk-Zaspa
tel.(0-58)

T. 723

Wpłynęło dnia 2.02.97

L.dz. 0746/WSK 197

7/1

A R C H I W U M

Wojskowej Służby Kobiet

W T O R U N I U

Jadwiga Abramowska z d.Ryczak, /st.strzelec Pomocniczej Służby
Wojskowej Kobiet pod d-twem brytyjskim ATS/.

Córka sędziego Piotra Ryczaka i Marii z d.Danek.

Ur.23.09.1923r. w miejscowości Dolina woj.Stanisławów.

Do szkoły uczęszczałam w Przemyślu, będąc w tym czasie najpierw
Zuchem, następnie harcerzem Związku Harcerstwa Polskiego.

Po zajęciu części Polski przez wojska sowieckie, aresztowano
9.IV.1940r. mojego ojca, naczelnika Sądu Grodzkiego w Przemyślu.

Od tego dnia ślad po nim zaginął. Matkę moją wraz ze mną areszt-
towali Sowieci 13.IV.1940r. i wywieziono do pñ.Kazakstanu na
fermę tuberkulicznego bydła w Ubachańskim rejonie - Kustanajska
Obłość.

Aresztując nas nocą zabrano nam wszystkie dokumenty i wywieziono
tak, jak stałyśmy, bez bagażu i bez zapasu żywności. Dowieziono
do Kazakstanu, mieszkaliśmy w wykopanej ziemiance. Po amnestii
"Sikorski-Majski" w roku 1942, zamieszkałyśmy w meczecie w Sta-
linobadzie, gdzie matka moja została kierownikiem Konsulatu
Polskiego. W meczecie ulokowano Polaków czekających na powrót
do Polski. Po kolejnym zerwaniu stosunków Polsko-Rosyjskich
aresztowano moją matkę. Nie czekając na dalsze prześladowania
uciekłam do Wrewskaja, do Armii Andersa.

Po przybyciu przez Pahlawi do Teheranu w Iranie, pracowałam po-
czątkowo jako pracownica cywilna na poczcie w obozie Uchodźstwa
Polskiego nr 3. Wcielona następnie do wojska, zostałam w Egip-
cie przeszkolona na kursie unitarnym w pobliżu Rahovotu, w są-
siedztwie Brygady Karpackiej gen. Kopańskiego.

Od września 1943r. znalazłam się w Szkocji k/Darlingtonu w Cen-
trum Wyszkołenia Pancernego i Technicznego. Po przeszkoleniu
przeniesiono mnie do pracy w Biurze Opieki nad Żołnierzem w
Londynie. Sztab mieścił się w Rubensie w pobliżu Vandouhouse.
Biuro prowadzili kpt.Zboromirski i kpt.Szwagrzak, szefem biura
był płk.Mniszek.

Żona gen.Sikorskiego i poetka Beata Obertyńska zajmowały się społecznie opieką nad żołnierzami i pracowały razem z nami w tym samym biurze.

Za pracę w czasie bombardowań Londynu rakietami V1 i V2 otrzymałam Defence Medal i War Medal.

5.XI.1945r. wyszłam za mąż za Mieczysława Abramowskiego kpt. Żeglugi Wielkiej. Ślub nasz odbył się w kościele polskim w Londynie.

Do Polski wróciłam 2.VI.1947r. mieszkając odtąd w Gdyni.

Matka moja po zwolnieniu z więzienia w Stalinobadzie, pracowała jako opiekunka w Domu Dziecka. Do Polski wróciła w 1947r. zabierając z sobą dwoje sierot polskich. Zamieszkała we Wrocławiu.

Gdańsk, 13.listopada 1997r.



I/2 Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora

1. Odpis wyciągu z rozkazu Dziennego Nr 195 Centrum Edukacji i Techn. da. 17 X 1948 (Podziękowanie dla Jednostki Ręcznej za pomoc w Centrum)

mps. ksero K.1. s.1

2. Ministerstwo Spr. Zagranicznych, Wn. 20 IX 1977 dot. odznaczenia brytyjskiego Defence Medal, War Medal 1939/45 Jednostce Abnawskiej

mps. kopia K.1. s.2

3. Zaświadczenie, Stanford, 10 III 1988 dot. potwierdzenie, że Jednostka Abnawska była deportowana z Polski w 1940r na obszar ZSRD do chwili repatriacji do Francji po reformacji Armii Andersa. Zgodnie z tym potwierdza Zbigniew Starezyk Archiwista Akt Wojennych

mps. ksero K.1. s.3

I/2/h

ODPIS WYCiąGU Odpis.

M.p.9/X.1944 r.

Wyciąg

Z rozkazu Dziennego Nr.195
Centrum Wyszk.Panc.i Techn.

Punkt 3
Podziękowanie.

" W związku z przeniesieniem z Centrum ochotniczek Schrotter Anny, Ryczak Jadwigi, Jagielska Barbary i Sołtysik Anny dziękuję w imieniu Służby i własnym za staranność, wielką pracowitość, bezwzględne i chętne oddanie się pracy.

Na nowym miejscu przydziału wierzę, że również łatwo potrafią zdobyć sobie uznanie przełożonych i przyjaźń współpracowników czego im serdecznie życzę."

podpisano: /-/ Komendant Centrum
Michalski płk.

Za zgodność odpisu:

/-/ Nieczytelny
K-dka Plut.

dnia 17,10.44r.

Za zgodność:

SZEF WYDZIAŁU DOBROBYTU ŻOŁNIERZA

MNISZEK ADAM PPULK. DYPL.



Wpłynęło dnia 31.07
Licz. 2534 MSK 100

I/2/2

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH
PROTOKÓŁ DYPLMATYCZNY

00-580 Warszawa, dnia 20 września 1977 r.

Nr P. D. 12-45-76-WB

Ob. Jadwiga ABRAMOWSKA

Gdańsk-Oliwa

Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawiadamia, że Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, na wniosek Ministra Spraw Zagranicznych, decyzją z dnia 6 lipca 1977 r. udzieliła Obywatelowi zezwolenia na przyjęcie odznaczeń brytyjskich: Defence Medal, War Medal 1939/45.



DYREKTOR
PROTOKÓŁU DYPLMATYCZNEGO

J. Lewandowski

Wspomnienie Abnemoskiej przekazała Teresa Ciesielka
w dniu 25 II 2008r

J/2/3



HOOVER INSTITUTION
ON WAR, REVOLUTION AND PEACE

EUROPEAN COLLECTION

Jadwiga Abramowska, nee Ryczak
Ul. Ciolkowskiego 7B/12
80-463 Gdansk
Poland

Zbigniew Stanczyk
Hoover Institution Archives
Stanford University
Stanford, CA 94305-6010
USA

Zaswiadczenie,

Stanford, 10 Marca , 1999

Niniejszym potwierdzam, iz wedle dokumentow wladz polskich okresu II wojny, bedacych w posiadaniu Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanfordzkim, Jadwiga Abramowska, corka Marii i Piotra, urodzona 23 wrzesnia 1923 roku byla deportowana z Polski w kwietniu 1940 roku wraz z rodzina na obszar ZSRR-Kustanajska Oblast, Ubahanskij Reion. Osierocona po smierci ojca w Katyniu, pozostawala wiezniem w tamtejszych obozach pracy. Przebywala na terenie ZSRR do chwili repatryjacji do Iranu po uformowaniu Armii Andersa.

Zgodnie z prawem miedzynarodowym w pelni kwalifikuje sie na zasilek weterana I wieznia II Wojny Swiatowej. Powyzsze zaswiadczenie jest pelnoprawnym dokumentem wydawanym na podstawie umowy wladz polskich z Instytutem Hoovera.

Zgodnosc powyzszych danych poswiadczam:

Zbigniew L. Stanczyk
Archiwista Akt Wojennych

Hoover Institution
Stanford University



II. Materiały uzupełniające relację

Wspomnienie Jadwigi Abramowskiej z ol. Ryzek
PSK pod doświadczeniem brytyjskim

mps. ksero k. 21 s. 1-21

Wspomnienia Abramowskiej przekazane do Fundacji
Teresa Ciesielska z Goleńska dn. 25 II 2008r



Od 1.09.1939 r tzn. od wybuchu drugiej wojny światowej, której obawiali się wszyscy, a równocześnie gdzieś w głębi serca, łudziliśmy nadzieję, że może stanie się cud : do najgorszego nie dojdzie – zawaliło się wszystko .

W ostatnie wakacje przed wojną byłam z Mamusią i wujostwem ze Stanisławowa na pierwszych w moim życiu takich wakacjach w Delatynie na Huculszczyźnie, w przepięknej okolicy nad Prutem, w miłym towarzystwie kapaliśmy się, grali w siatkówkę, bawili, tańczyli – pełni radości - odsuwając od siebie złe wieści.

Powrót był przyspieszony, tym bardziej, że moja siostra, młoda mężatka poważnie zachorowała i pojechała z mężem do Lwowa do lekarza, a Mamusia bardzo się o Nią niepokoiła. We Lwowie dowiedziała się, że Marysia musi być operowana, a wojna jest pewna i jest ogólna mobilizacja.

Mój Ojciec stale mówił, że jest uczciwym człowiekiem i tylko całe życie poświęcał pracy dla Ojczyzny, więc wraca na swoje miejsce. W Przemyślu, gdzie mój Ojciec był naczelnikiem sądu czuło się wielkie napięcie, widziało się znacznie zwiększoną ilość wojska.

No i stało się. Od razu zaczęły się bombardowania, zarządzono ewakuację państwowych urzędów w kierunku granicy z Rumunią, popłoch wśród ludności cywilnej, wykupywanie żywności, stałe słuchanie radia przynoszącego tragiczne wiadomości o w piorunującym tempie posuwaniu się wojsk niemieckich w głąb kraju, mimo bohaterkiej obrony naszych znacznie gorzej uzbrojonych wojsk.

Okazało się, że wakacje 1939 r. w Delatynie, cudowne, niezapomniane, były pierwszymi i ostatnimi tego typu w moim życiu.

Pracownicy sądu wraz z rodzinami zostali ewakuowani do Zaleszczyk, gdzie podążały niezmierzone tłumy ludzi pieszo i wszystkimi możliwymi środkami lokomocji. Gdy nadlatywały samoloty bombardujące, wszyscy uciekali w pole ratując się jak było możliwe. Wkrótce znaleźliśmy się we Lwowie, który atakowany z powietrza palił się. Mamusia płacząc prosiła, by pozwolono Jej wysiąść aby odszukać operowaną córkę, ale zgody nie otrzymała, więc jechaliśmy dalej do miejsca przeznaczenia, coraz bardziej oddalając się od terenu najostrzejszych walk.

Zakwaterowani z przerażeniem patrzyliśmy na przechodzące przygraniczny most wojsko, jadące samochody z wysoko postawionymi osobistościami. Pewien procent osób nie zdecydował się na opuszczenie kraju. W tym był mój Ojciec i w związku z tą decyzją mieliśmy z powrotem wrócić do Przemyśla.

Nic nie wiedząc o umowie Ribbentrop – Mołotow, na podstawie której Polska została podzielona między Niemcy i Związek Radziecki na 2 części – 17.IX , wyszliśmy z Mamusią by coś kupić do jedzenia na drogę powrotną.

Nagle usłyszaliśmy warkot, łomot, krzyki, popłoch i ku naszej rozpaczy zobaczyliśmy z bardzo daleka jadące i strzelające czołgi sowieckie. Prawie w tym samym czasie przed pobliskim sklepem zatrzymał się polski samochód wojskowy, z którego wysiadło kilku polskich żołnierzy i weszło do sklepu, ale na odgłos strzałów wybiegli ze sklepu i wskoczyli do samochodu, który natychmiast ruszył.

Niestety ostatni stojący na stopniu samochodu padł ugodzony kilkoma kulami. Kto był w pobliżu ruszył, by ratować człowieka mimo groźnej sytuacji. Niestety okazało się, że już nic pomóc nie można, padł na miejscu, a z dokumentów dowiedzieliśmy się, że to znany pisarz Tadeusz Dołęga – Mostowicz.

Wspólnymi siłami zorganizowano pogrzeb, a następnie w coraz gorszych warunkach ruszyliśmy do domu. Powrót był bardzo trudny, a dodatkowo pełen niepokoju o moją siostrę. W domu okazało się, że nasza kochana gosposia „Ciotkasa” jak ją nazywałyśmy cały czas pilnowała domu przyjmując uciekinierów z zachodniej Polski tzw. bieżęńców. Przemysł stał się miastem granicznym, podzielonym rzeką San na 2 części – niemiecką i sowiecką. Był zatłoczony, wszędzie było pełno zabiedzonych, zmęczonych ludzi. Mieszkańcy przyjmowali do swoich domów kogo mogli, kościoły były pełne, a u nas w domu mieszkali krewni i znajomi.

Mamusia przyprowadzała różne osoby, z którymi dzieliła się naszymi ubraniami, karmiła. W międzyczasie NKWD zarekwirowało nam największy pokój – salon, gdzie zamieszkiwał oficer polityczny Iwan Ananiewicz Rewa, człowiek może nie zły, ale potwornie prymitywny.

Mój Ojciec musiał się ukrywać, ale niestety nie chciał wyjechać więc tajemnica była żadna. Wkrótce po naszym powrocie przyprowadzono do nas rannego w nogę generała Andersa, ale już po paru dniach trzeba było przetransportować Go do naszych znajomych, ponieważ sytuacja okazała się niebezpieczna.

Jednego dnia przyjechała moja siostra z mężem, który Bogu dzięki odnalazł Ją w zrujnowanym Lwowie, po ciężkiej operacji, bardzo chorą. Jako lekarz zdobywał leki i doprowadził do takiego stanu, by mogła się ruszać. Mimo złego stanu zdrowia (w ciąży) postanowili za wszelką cenę starać się o przejście granicy i powrót do siebie do Przeworska.

Czas biegł, warunki były coraz trudniejsze, sowieci rozbijali magazyny, kradli co się dało, a wszystko było dla nich cudem. Pewnego dnia doszła do ludzi wiadomość, że zostanie otwarta granica, ale kiedy nie było wiadomo.

Moja siostra z mężem przeżyli kilkudniowe piekło, by w walczącym o miejsce w kolejce tłumie przejść przez most na Sanie na stronę niemiecką. Nasze życie było coraz trudniejsze i niepewne.

Pewnego dnia „nasz” politruk wszedł do sypialni moich rodziców, zobaczył mnie ułożoną do snu na noc na podłodze na dywanie i powiedział „Jadwiga, ten stary twój Ojciec już się dość naspał wygodnie, wyrzuć Go, a sama połóż się do łóżka”. Ja zdrętwiałam z przerażenia, a on odszedł. Ten moment pamiętam tak, jak by to było wczoraj, a nie przeszło 60 lat temu.

Jednego dnia przyszedł do nas człowiek, skazany przez mego Ojca za kradzieże na więzienie i powiedział do Mamusi, że wiedzą, że On niby to się ukrywa, ale będą aresztowania, a sowietci wszystko wiedzą, więc on uprzedza by Ojciec zniknął a może się uratuje. Niestety mimo błagań nas wszystkich nie ruszył się z domu. I tak żyliśmy w strachu z dnia na dzień.

Mamusia dwoiła się by zdobywać jedzenie, ja chodziłam do gimnazjum, a panowie siedzieli w domu i zajmowali się czym kto chciał. Do szkoły zorganizowanej jako gimnazjum koedukacyjne w sowieckiej części miasta, młodzież chodzić musiała z rozkazu NKWD.

9.IV.1940 r nad ranem obudziło nas gwałtowne dobijanie się do drzwi. Okazało się, że to politrucy łącznie z naszym lokatorem pod dowództwem naczelnika NKWD, który stwierdził, że zabierają mego Ojca do więzienia jako podejrzanego o wrogi stosunek do ZSRR, a że tylko na przesłuchanie, więc może wziąć tylko trochę drobiazgów, takich np. jak przybory do mycia i golenia. Po paru minutach już ich nie było. Nasz lokator Iwan Ananiewicz Rewa powiedział, że sądził, że to po niego, bo u nich nie ma nic pewnego.

W ciągu paru dni, nie pozwolono Ojcu niczego przekazać, mnie kazano pójść do gimnazjum, a już 13.IV.40 r pan naczelnik NKWD z żołdatami postawił nas w nocy na równe nogi i odbierając dokumenty powiedział, że idziemy na przesłuchanie do więzienia, więc nic nie należy brać. Wezwał dozorcę, który miał iść z nami i bardzo szybko Mamusia, brat mego Ojca z Warszawy z małą walizką znaleźliśmy się na ulicy. W ciemnościach widzieliśmy ciężarowe samochody wypełnione ludźmi i bagażami jadące w stronę dworca. Nas pędzili na piechotę. Gdy znaleźliśmy się w pomieszczeniach dworca towarowego, moja Mamusia błagała naczelnika NKWD, który nas przyprowadził, by pozwolił dozorczy pójść do domu przynieść nam trochę jedzenia i coś do ubrania, mówiąc że on nas oszukał. W odpowiedzi na to chwycił moją Mamusię za ramiona i z całej siły pchnął tak, że tylko dzięki ludziom, którzy ją chwycili nie połamała sobie kości.

Wkrótce poprowadzili nas do pociągu towarowego i wepchnęli do całkowicie wypełnionego wagonu, gdzie polecono siadać na podłodze, co było bardzo trudne, bo nawet nie można było wyciągnąć nóg, a miało tą dobrą stronę, że drzwi nawet zaryglowane miały szpary, przez które wplywało nieco świeżego powietrza.

Po kilku godzinach oczekiwania wszyscy byli spragnieni, więc krzyczeliśmy i walili czym się dało i w końcu przyszli żołdaci z 2 - ma

wiadrami . Dwom młodym dziewczynom, w tym mnie dano 2 wiadra i polecono pod eskortą iść do studni po wodę. Okazało się, że to jest daleko, przy płocie oddzielającym teren dworca towarowego od przedmieść Przemysła.

Soldaci się zatrzymali, a ja zobaczyłam przy płocie chyba całą moją klasę. Wszyscy krzyczeli „Jadźka uciekaj, my Ci pomożemy,„ a ja w ułamku sekundy zdałam sobie sprawę, że nawet gdyby mi się to udało, zrobiłabym okropną krzywdę Mamusi, która w całym naszym nieszczęściu nie wiedząc co się ze mną stało – zdręczyła by się do reszty, a z mojej strony byłoby to samo. Poganiane przez żołnierzy, z pełnymi wiadrami wróciliśmy do zatłoczonego wagonu – pełnego jęków i płaczu 3 – miesięcznego niemowlęcia.

Po pewnym czasie uspokoiło się a długi pociąg towarowy składający się z kilkunastu wagonów towarowych ruszył. Słysząc było tylko modlitwy i płacz. Nasza trójka siedziała skulona przy zaplombowanych drzwiach, w których było parę szpar, przez które wchodziło nieco świeżego powietrza.

Na końcu wagonu w podłodze był otwór służący za toaletę, do którego przy tak szczelnie zapełnionym wagonie trudno było się dostać. Nasi współtowarzysze to kobiety z dziećmi w różnym wieku od 3 – y miesięcznego niemowlęcia do 18 –letniego chłopca. Jedynym mężczyzną był mój stryj – bieżeniec z Warszawy doskonale ubrany, zaopatrzony, ponieważ liczył się z długą drogą, ucieczką z kraju, a nie przewidział wyjazdu na północ.

Po stosunkowo krótkiej jeździe pociąg zaczął zwalniać, a osoby leżące na pryczy koło zakratowanego okienka powiedziały, że pociąg zatrzymuje się pod Lwowem i że na sąsiednim torze stoi transport lwowski, a przy zakratowanym okienku stoi dziewczynka grająca na mandolinie i śpiewająca lwowskie piosenki. Nie czuję się na siłach powiedzieć jak czuliśmy się łykając łzy. Następny etap i postój to Tarnopol. Wieść o wywozach już się rozeszła, więc po torach przemykały się dzieci z butelkami mleka dla niemowląt – rozpędzane kolbami karabinów przez sowieckich żołnierzy.

Moja Mamusia uprosiła kogoś przy okienku, by wyrzucił przez nią napisaną kartkę do dyrektorki liceum Jej znajomej z wiadomością w jakim stanie nas wywożą. Karteczkę Mamusi złapała uczennica tego liceum i krzyknęła, że załatwi uciekając przed kolejnym uderzeniem kolbą karabinu. Na szczęście transport stał długo tak, że ona zdążyła wrócić i przekupić żołnierza, który dał nam paczkę z chlebem, marmoladą, 2 ręcznikami, mydłem i 2 sukienkami – to był prawdziwy cud. Pani, która nam to dała miała dobre 180 cm wzrostu i odpowiednią tuszę, a my byliśmy raczej niskie , więc na dodatek tyle materiału.

Wkrótce transport ruszył i słysząc było tylko stukot kół, płacz dzieci i modlitwy.

Atmosfera była coraz cięższa, powietrze w miarę upływającego czasu dosłownie drażniące. Po minięciu Uralu, którego zresztą nikt nie widział, w środku nocy, gdy wreszcie udało się nam zasnąć, zbudziły nas krzyki walenie w wagon i otwieranie zaryglowanych drzwi. Okazało się, że 2 młode osoby pod eskortą z 2 – ma wiadrami mają iść po jedzenie. Byliśmy głodni, ale przy tym zbyt zmęczeni, by perspektywą jedzenia się cieszyć.

W jednym wiadrze była rozgotowana kasza, w drugim jakiś płyn. Jednak zapach stęchłej co prawda, ale kaszy doprowadził wszystkich do przytomności, więc jedliśmy czym i jak się dało. Potem drzwi zaryglowano, zdawałoby się wszystko sprawdzone, gdy rozległy się krzyki i strzelanina. Okazało się, że kilkoro młodych ludzi, korzystając z zamieszania uciekło. Szybko ich złapano, myślę, że nawet gdyby parę kilometrów przebiegli, to przy wysokim mrozie, śniegu – tragicznie by się to skończyło. Dalej jazda już bez zatrzymania, bez jedzenia do końca tzn. Kustaneja, gdzie czekały na nas ciężarówki. Jak zwykle przy wrzaskach, popychaniach kazali wyskakiwać z wagonów. Nie było to łatwe po unieruchomieniu, ludzie padali, mdleli. Na szczęście w sąsiednim wagonie była lekarka, która jak mogła – ratowała.

Jak się potem okazało w sąsiednim wagonie jechała matka z 6 – cioletnią córeczką po trepanacji czaszki – Pani doktor robiła co była w stanie w takich warunkach, niestety dziecka nie dało się uratować.

Tymczasowo zawieziono nas do kołchozu, jako, że był to 1.V – czyli prazdnik polecono ludziom pozabierać nas do swoich domów, które były małe, więcej niż marne, bez podłóg, ale ludzie nadzwyczaj serdeczni, patrzący na nas z litością. Z okazji święta piekli pierogi z marchwią, którymi nas poczęstowali.

Na drugi dzień wysłali nas do pracy w polu, konkretnie do ścinania kolosalnych słoneczników czymś w rodzaju tasaków, co było dla nas nadzwyczaj ciężkie i trudne. Jak pech, to pech; ja pierwsza zemdlałam, a tubylcy uznając, że udaję trzepnęli mnie ile sił łopata, a gdy to nie pomogło, polali dużą ilością wody. Następnego dnia była lżejsza praca, czyli okopywanie – plenie.

Jak okiem sięgnąć ciągnął się sznur kobiet, my pomieszani z tubylcami. Młodzi, mimo okropnego upału to wytrzymywali, niestety nasze mamy (moja też) mdlały jedna za drugą. W związku z tym, naszym mamom delikatnie mówiąc podziękowali za pracę, ale i z młodzieży nie mieli pożytku, ponieważ praca w temperaturze + 35°, bez jednego krzaczka, który byłby osłoną choć na chwilę, czy choćby jakiegoś okrycia głowy powodowała, że co parę minut ktoś walił się na ziemię nieprzytomny. Jak tubylcy twierdzili to było porażenie słoneczne, które trwało tak długo, aż nie przeszło. Wtedy odzyskiwało się przytomność, stopniowo dalej do roboty.

Po 3 – ch miesiącach praco – choroby, znowu zajęły ciężarówki, które jak nam powiedziano powiozą nas dalej na północny wschód, gdzie już będziemy na zesłaniu do końca.

Jechaliśmy i jechaliśmy jak się nam zdawało bez końca, tym bardziej, że krajobraz jednostajny, ani wzgórze, ani krzaczka. Wreszcie po nie pamiętam już ilu dniach jazdy – stop. Zatrzymujemy się w Ubachanskim rejonie, w Sowchozie tuberkulicznego bydła N^o – 4, w porównaniu z kolchozem, w którym byliśmy poprzednio to koszmar.

Momentalnie otoczyły nas dzieci i staruszkowie kazachscy, ponieważ ludzie w wieku czynnym byli dalej na stepie z bydłem. Powiedziano nam, że do ich powrotu mamy rozłożyć się w wolnym baraku do powrotu przed zimą Kazachów z bydłem. Ponieważ lato upalne, ale bardzo krótkie mijało szybko – pokazano nam jak należy budować ziemiankę, w której mieliśmy mieszkać i przeżyć 40^o mrozy „ław burany”, czyli śnieżne burze. Przypatrywali się nam, by na koniec powiedzieć: „nada przywykat, kak ne przywykniesz, tak padochniesz.”

Następnego dnia zabraliśmy się do budowania ziemianki . Zbieraliśmy po stepie kiziak , który tam był na wagę złota, który zrzucany do wykopanego dołu razem z gliną, polewany wodą na zmianę ubijaliśmy nogami.

W następnej kolejności wykopywaliśmy mniej – więcej różnej wielkości płyty porostu niską, zbitą trawą ziemi i układaliśmy te płyty łącząc je rozmieszonym kiziakiem. Nie zdawaliśmy sobie sprawy , jakim majątkiem był kiziak na stepie. Nie jestem w stanie opisać tej budowy, robienie cegieł do budowy pieca, który nie miał drzwiczek, ani żadnej części , która powinna być w normalnym piecu. Kazachskie dzieci trochę na migi, trochę łamanym rosyjskim pokazały nam, że musimy mieć coś, co podeprze dach. W rezultacie w nocy ukradliśmy 2 dyszle od wozu, zamarli ze strachu przywlekliśmy je na miejsce i według dyrektyw najstarszego chłopca, urodzonego robotnika przetaczaliśmy całą noc, aby rano nas na tym nie złapano.

Jednym słowem, choć nie mieliśmy pojęcia o tego rodzaju robocie – udało się.

Tak się zaczęło moje codzienne życie. Z różnych szmat i papierów robiliśmy sobie legowiska, bo tylko jedna rodzina miała materace, poduszkę i kołdrę. Nie zdawaliśmy sobie sprawy jakim majątkiem jest kiziak na stepie i że po wybudowaniu naszego „domu” nie pozwolą nam ani kawałeczka zabrać, by choć trochę wody zagotować. Zaczęła się praca na stepie, wszystkie matki mdlejące w ogromnym upale – zwolniono z pracy, ponieważ stwierdzili, że są tylko kłopotem.

Młódzież skierowano do kolejnych robót w temp. + 40^o, praca trwała od świtu do południa, kiedy to była przerwa, wypoczynek, który był koszmarem, ponieważ nie było skrawka cienia, gdzie można by schować

głowę. Najmłodszym pracującym na stepie był 12 – letni Stasio Paszko, wspaniały chłopak, który pracując ciężko maksymalnie opiekował się chorymi Matką i Siostrą. Do Sowchozu od czasu do czasu przyjeżdżał arba człowiek, który pełnił funkcję listonosza, więc wszyscy pisali do rodzin, przyjaciół mieszkających pod okupacją sowiecką, z prośbą o pomoc.

Mamusia dowiedziała się, że w najbliższym kołchozie odległym o 20 km mieszkają Rosjanie zesłani z Petersburga za rzekome przestępstwa przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Postanowiła tam pójść biorąc do sprzedania moje buty na łyżwy, w których wyjechałam z kraju.

Było gorąco więc chodziłam boso, a Mamusia miała nadzieję, że przed zimą wrócimy do kraju. Okazało się, że było tam 2 wysiedleńców, w tym inżynier Uchanow, bardzo życzliwie udzielił Mamusi rad i pomógł wymienić moje buty na pud mąki, 16 kg pszenicy, z którą z trudem wróciła do ziemianki.

Okazało się, że coś takiego jak młyn nie istnieje, ale że Kazachowie mają żarna, które mogą pożyczyć za coś z ubrania, czy herbatę, której nie mają i piją tylko wysuszony jakiś gatunek trawy. Nie mając żadnych mebli zwyczajowo siedzą po turecku na ziemi i piją herbatę zalewając ją wodą z samowara. W sowchozie jest też „ławka” – sklepik zamknięty cały rok, otwierany 2 razy w roku: na Nowy Rok i 1 Maja. Wtedy mogą kupić po 1 kg cukru i suszone kaczany owoców w kostkach. W międzyczasie my dostaliśmy paczkę z herbatą, solą, tłuszczem, czapkami, szalikami, swetrem i pieniędze.

Kazachowie trochę łamanym rosyjskim, trochę na migi zaproponowali nam Polakom, abyśmy dali pieniądze, oni wykupią i podzielą się z nami. Boże, jak te łupy nam smakowały! Trudno opisać.

Po żniwach, gdzie pracowaliśmy przy kombajnie od poniedziałku do soboty, co było dla nas nieprzyzwyczajonych do takiej pracy koszmarem.

Raz dziennie dostawaliśmy po misce zupy, to była woda kolorowa, w której czasem pływała kluska z czarnej mąki tzw. łapsza.

Gdy wróciłam do ziemianki Mamusia załamała ręce i wołała: „Jadziu, jakie ty masz czerwone oczy, spaloną skórę i mięśnie, okropne”.

Po żniwach pracowałam przy tzw. wiejałce, to była maszyna ręczna, do której trzeba było zsypać do wysoko położonego otworu zawartość – 16 kg pojemnika zboża, a druga dziewczyna kręciła korbą. W efekcie do worków wylatywało ziarno, a w powietrzu unosiły się plewy. Ponieważ byliśmy nie wysokie, ta praca była dla nas ponad siły.

Jednego dnia „uprawlajuszczyj” kazał mi ujeżdżać woły. Nie miałam pojęcia jak się do tego zabrać, ale w końcu pomogli mi zaprząć 2 woły do wozu i pojechałam. Początkowo szły względnie spokojnie, ale już daleko w stepie poniosły. Pędziły jak szalone, a ja nie mogłam sobie z nimi poradzić.

W pewnej chwili wyrwały dyszle i poleciały z nimi w step. Ja potłuczona, biegłam boso po rżysku za nimi, krzyczałam i płakałam.

W pewnym momencie stanęłam nie mając już sił. Wtedy zobaczyłam daleko ludzi, którzy jak się okazało złapali woły i biegli w moim kierunku.

Okazało się, że to byli Polacy, tacy zesłańcy jak my. Dobiegli do mnie, pocieszali, ocierali łzy, pomogli naprawić wóz, zaprząc woły, pokazali gdzie należy kopnąć woła, aby był posłuszny. Niestety moja nieduża, bosa, pokrwawiona noga nie mogła tego zrobić. Wobec tego robił to jeden z chłopców i woły ruszyły już spokojnie w drogę powrotną.

Czas uciekał, nieubłaganie zbliżała się zima. W tej części Rosji lato jest krótkie, upalne, a zima długa, bardzo mroźna z zawiejami śnieżnymi tzw. burzanami. Znaleźć się w czasie burzanu na stepie, gdzie nie ma żadnych dróg, znaków, a mróz i wicher zapiera dech, człowiek traci orientację, grozi zamrożeniem – śmiercią. Od czasu, do czasu przychodziły listy i paczki, które posyłali nam krewni i znajomi, sami biedni, a mieszkający na terenach zajętych przez Związek Radziecki.

Mamusia chodziła kilometrami do kołchozów, by wymienić co się dało z paczek, na pszenicę, czy połenu pszono, czyli niełuskaną kaszę jaglaną, którą też miałyśmy na żarnach. Gdy nie miałam pracy szłyśmy obydwie, a Mamusia która skończyła gimnazjum klasyczne z łaciną i greką; wiele pamiętała – uczyła mnie gramatyki łacińskiej, deklamowała poezje i mówiła wiele rzeczy, które do dziś pamiętam.

Pamiętane mając 77lat urywki Ksiąg Narodu Pielgrzymstwa Polskiego, wiersz Leopolda Staffa, Jana Kasprowicza, którzy je napisali Mamusi w pamiętniku, który przepadł ze wszystkim, pięknymi meblami, obrazami i całą resztą, która do dziś stoi mi w oczach jak żywa. Mówiłyśmy o Marysi, mojej siostrze, której losami kierował Pan Bóg i dzięki Jej przewidywaniom, uchronił przed naszym losem czy większymi cierpieniami, ponieważ spodziewała się dziecka.

Wiedziałyśmy, że gdyby mieli możliwość, pomogli by nam. Tymczasem kilometrami szłyśmy, by zgromadzić coś na nadchodzącą zimę. Zbierałyśmy papiery z paczek, woreczki w które były popakowane, co się dało, by w miarę postępującego mrozu owinać nogi papierami, na to ubierać skarpety.

Mamusia miała delikatne buciki, ja nie miałam żadnych więc był problem. Problemów było wiele, między innymi nie mieliśmy kiziaku, którym się tam pali, ponieważ tubylcy nie pozwalali nam zbierać, świec, pościeli, ciepłych ubrań, tylko płaszcze, w których nas wywieźli.

Tylko Stryj Tosio, którego z nami wywieźli przypadkowo miał futro, czapkę futrzaną itp. Mamusia, która cierpiała na wrzody dwunastnicy – z głodu je wyleczyła, a poza tym w międzyczasie chorowałyśmy, ale tam bez choćby aspiryny, albo organizm sam sobie poradził, albo nie.

Chorowałyśmy na anginę, ja miałam w czasie pracy na stepie porażenie słoneczne czego nie czułam, ponieważ straciłam na parę dni

przytomność, a gdy ją odzyskałam byłam tylko słaba i jakiś czas bolała mnie głowa.

Gorzej było, gdy zachorowałam na czerwonkę i ze stepu przywieźli mnie do domu, ponieważ trzeba było w końcu bez sił na czworakach iść za „dom”. Całe szczęście, że chorowała tylko młodzież pracująca na stepie, prawdopodobnie od wody, która w beczce stała na słońcu. Bogu dzięki Mamusia i Stryj tego nie przeszli, a Mamusi z głodu zaszuszyły się wrzody na dwunastnicy, na które chorowała w domu.

W szybkim tempie zbliżała się zima, pracy było coraz mniej, szukaliśmy czegoś do palenia, by choć na „kipiatok” nasypać zmielonej na żarnach pszenicy i taki gorący klajster zjeść. Gotowanie należało do Mamusi, która zawsze mówiła, że gotuje płucami, ponieważ piec był do niczego, a opał który udało się znaleźć był wilgotny. Gdy przyszedł mróz 40° tuliliśmy się do siebie ogrzewając oddechem, a gdy zaczęły się burzany tzn. burze śnieżne, byliśmy zasypani tak, że dopiero gdy tubylcy odkopali tyle, aby mogła wyczołgać się jedna osoba, po wyjściu młodzieży odkopaliśmy tyle, aby pozostali mogli wyjść.

Ponieważ nie miałam butów, do worków po paczkach dawałyśmy tyle pomiętego papieru ile się dało i ile było do tego wkładania nogi i na nich wiązywałam sznur. Dzieci kazachskie wołały za mną Jadwiga w lewo, Marija w prawo – tak jak woreczki były adresowane.

Jednego dnia uprawlajuszczycj zażyczył sobie abym przyszła do jego domu do pomocy. Okazało się, że mam nanieść śniegu na wodę i zrobić pranie. To była nieprawdopodobnie zawszawiona bielizna z szarego płótna i inne rzeczy – dławilo mnie w gardle, ale dyskusji nie było.

Potem jego żona zaprosiła mnie na herbatę z samowara i korzę. Moja radość momentalnie zamieniła się w przerażenie, ponieważ ona powiedziała, abym biła jej na głowie wszy nożem, którym kroila korzę. Mimo tego, że byłam głodna nie byłam w stanie tego zrobić. Pod koniec przyszła Mamusia i jak zorientowała się w sytuacji powiedziała do nich, że ona przyjdzie na moje miejsce, ponieważ ma większe doświadczenie. Na szczęście po paru dniach ta praca się skończyła.

Mróz doprowadzał nas do rozpaczcy, więc pewien czas ja z koleżanką Halinką chodziłyśmy w nocy kraść kiziak do uprawlajuszczyczego, ponieważ on miał opału najwięcej, a pod koniec zimy wszyscy Polacy po naradzie postanowili włamać się do wozowni i po cichu wynosić małe kawałki drewna.

Na koniec w czasie zamieci wynieśliśmy cały dyszel wozu. Mamusia od Kazachów za cukier i sól wypożyczyła siekierę, którą po kolei wszyscy rąbaliśmy na szczapy ten dyszel. Przed tym wejście do ziemianki dla bezpieczeństwa zasypaliśmy śniegiem. Baliśmy się okropnie.

Mniej więcej w tym okresie przyjechał wozak po mego Stryja, ponieważ kolejny raz zawalił się most na Ubahanie, a że On był inżynierem

budowy dróg i mostów, więc wzywali go na ratunek. Wyprzedzając czas mogę powiedzieć, że dobrze Mu tam było, ponieważ dostawali dość jedzenia, a mój Stryj kierował robotami i gotował. Wigilia była bardzo smutna, głodna i zimna, wszyscy w ciszy tylko tulili się do siebie.

Pewnego dnia okazało się, że rodzina Krzysiów składająca się z matki – i trojga dorastającej młodzieży wraca do kraju, do dziś nie wiem kim oni byli i jak to się stało, że wrócili. Czas mijał, atrament w kałamarzu był zamarznięty, gnębiły nas choroby, które nie wiem jakim cudem przechodziły, tylko my byliśmy coraz słabsi i gdyby nie paczki, które od czasu do czasu przychodziły, chyba nikt by nie przeżył.

Najstarsza była 14 letnia Genia Paszko, która już chodzić nie mogła, miała wspaniałego 12 letniego brata Stasia, który wychodził z siebie by pomóc Matce i Siostrze.

Aż jednego dnia dosłownie wybuchła wiosna, śnieg topił się w mgnieniu oka i w efekcie w ziemiance zalewała nas woda. Wszyscy kopali dół, a wodę młodzież wynosiła na zewnątrz, ale oczywiście to była syzyfowa praca. Mamusia bardzo się o mnie bała, bo po kilku zapaleniach ucha ropa ciekła bez przerwy. Wyszukała miejsce względnie suche koło pieca i kazała mi tam usiąść. Niestety wkrótce rozmokły piec zawalił się, zalepiając mnie błotem – przy okazji wybijając 2 zęby.

Step to była przestrzeń ogromna z falującą wodą, a gdzieniegdzie wystawały kępki trawy, na których rosły kolorowe kwiaty podobne do dzikich tulipanów, nad tym unosiły się chmary komarów. W tym czasie przyjechał arba woziwoda, który przywiózł Mamusi list od Stryja, który gdzieś zgubił plany budowy mostu na Ubahanie i błagał Mamusię, aby poszła do rejonu do inż. Uchanowa z prośbą o pomoc. W jednej chwili Mamusia wyszła i dopiero po powrocie dowiedzieliśmy się co przeszła.

Szła modląc się kąsana przez komary terenem falującym wodą i dopiero blisko rejonu nadjechała arba i wozak gdy zobaczył Mamusię zalaną krwią, spuchniętą od ukąszeń komarów, powiedział: Boże mój i wciągnął Ją na arbę. Inżynier Uchanow zajął się Nią, powiedział, że ma duplikaty planów, że wszystko będzie w porządku, a na zakończenie powiedział: „niech pani myśli więcej pro domo sua”.

21.VI.41 r w lecie został zawarty układ Sikorski Majski – objęła nas amnestia i powstawało wojsko polskie. Kto żyw i trzymał się na nogach ruszał przed siebie, aby uciec z tej niehumanitarnej ziemi i w jakiś sposób dostać się na południe. My z Mamusią szliśmy w kierunku Kustanaja jako stacji kolejowej i po paru dniach doszliśmy do ni to wsi ni to mini miasteczka o jednej ulicy wzdłuż której stały domki z przynależnymi do nich dużymi kawałkami pola. Tam spotkaliśmy panie: Kielarową z bliźniakami urodzonymi tego samego dnia, miesiąca i roku co ja – Halinkę i Januszem, Rogowską z synem Jędrusem, Matuszkową z dwojgiem dzieci Zosią i Andrzejem.

Wszyscy razem wynajęliśmy jedną izbę z czymś w rodzaju kuchni i tam pokodem położyliśmy się na ziemi zmęczeni ponad wszelką miarę, ale spać nie było można, ponieważ pluskwy padały na nas dosłownie jak deszcz.

Rodzina, która wyszła z sowchozu po nas odebrała adresowaną do Mamusi paczkę i po paru dniach spotkaliśmy się i oni nam paczkę oddali. Ponieważ wojska niemieckie posuwały się w piorunującym tempie, więc moja Siostra wysłała nam paczkę z ubraniem i ta paczka pomimo tylu kataklizmów doszła do naszych rąk. I jak tu nie wierzyć w cuda.

Mamusia płacząc całowała sweterek, który Marysia nosiła i szukała wiadomości o urodzeniu wnuka. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że aby pojechać na południe musimy dostać się do Czekałowa, trzeba było zarobić, sprzedać coś, by popiec suchary na drogę.

Mamusia wymieniła na mąkę czapkę z baranka, która była w paczce, a cała młodzież dostała pracę przy wykopywaniu kartofli. Pracowaliśmy od świtu do zmroku dostając w południe miskę zupy, a po tygodniu pracy wiadro kartofli, co było dla nas rarytasem, ponieważ w okolicach do których nas wywieziono kartofli nie znano.

Po ususzeniu worka placków - ruszyliśmy etapami do Czekałowa pieszo, czasem jakiś litościwy człowiek podwiózł nas wozem. Było już zimno jak dotarliśmy do Czekałowa zmaltretowani, już tylko z panią Kielarową z dziećmi. Reszta pogubiła się po drodze. Pociągi na południe kursowały bez żadnego rozkładu, przeważnie na północ z rannymi, ponieważ Niemcy poruszali się bardzo szybko, tak jak w Polsce, mieli tylko do pokonania niezmiernie długie odległości tego kraju.

Nie pozwolono nam wejść na dworzec, więc marznąc siedzieliśmy na zewnątrz jedząc suchary moczone w kipiaku, który można było sobie nalać z kranu na dworcu. Jednego dnia przemaszerował oddział polskiego wojska, który z Tatiszczewa – pierwszego miejsca zbiórki uciekających z północy, jechał na południe.

Dawali nam co mieli do jedzenia, ja dostałam ogromną wspaniałą marchew, której smak czuję do dziś. Niestety to spotkanie trwało kilkanaście minut, zostaliśmy sami, brudni, nie myci od dawna, zmieniając tylko szmaty na poranionych nogach.

Mieliśmy trochę rubli, więc chodziliśmy od domu do domu prosząc o sprzedanie czegokolwiek do jedzenia, ale wszędzie odmawiano nam, tłumacząc się wojną, wreszcie w jednym z domów poszczuto psa, który pogryzł mi nogi.

Mamusia trzęsąc się z żalu powiedziała mi, że widocznie tak ma być i że przetrwamy kolejny dzień bez jedzenia. Wróciliśmy pod dworzec i skulone na ziemi usiłowałyśmy drzemać. Po 2 kolejnych dniach nadjechał pociąg do Taszkentu; do niego udało się dostać p. Kielarowej z dziećmi, Mamusi i mnie.

Podróż była długa i męcząca, na każdej dużej stacji Halinka, Janusz i ja wylatywaliśmy z pociągu by do puszek, które nie pamiętam skąd mieliśmy – nabrać kipiateru. Wreszcie Taszkent – upał, tłumy ludzi, żołnierzy sowieckich, którzy nas informują, że tu nie wolno zostać, jest epidemia tyfusu, że mamy jechać dalej.

Po pewnym czasie udało się nam wsiąść do pociągu jadącego do Samarkandy. Tam niedaleko, ale to samo tłumy ludzi, tyfus i odmowa na zameldowanie. Byliśmy tak skonani, że było nam wszystko jedno.

Nic nie mówiąc po cichu poszliśmy przed siebie. Minęliśmy miasto i zeszliśmy w dzielnicę domów otoczonych murami. Usiedliśmy na ulicy, by odpocząć. Okazało się, że nas obserwują, ponieważ po chwili przyszedł stary Uzbek i po krótkiej rozmowie zaproponował nam wynajęcie jednej izby, pod warunkiem zameldowania.

W ciągu paru minut na ceglach leżał ogromny portret Stalina jako łożo, na którym zmieściliśmy się wszyscy – 6 osób. Rano Mamusia poszła na bazar, aby wymienić swoją piękną grubą obrączkę na coś za co można by było uzyskać zameldowanie i kartki na chleb. Bardzo to przeżyła.

Zostawiła trochę ryżu i marchew, które dostała za obrączkę, a wzięła ze sobą herbatę i parę liści tytoniu (również za obrączkę) mówiąc tylko, że będzie próbowała coś załatwić. Gdy po paru godzinach wróciła, pokazała kartki na chleb i po przeżyciach tego dnia zmęczona, zestresowana – położyła się spać.

Na drugi dzień opowiedziała jak przekupiła herbatą i tytoniem tadżyka, który miał prawo meldowania i wydawania kartek na chleb.

Od razu poszliśmy z Halinką do kolejki po ten wymarzony chleb – 30 dkg na osobę czarnej gliny, ale chleb. Stało się od wczesnego popołudnia jednego dnia, do południa drugiego. My obie stawałyśmy pierwsze, w nocy przychodziły nasze Mamy na zmianę, a my wcześniej rano jako te silniejsze, zmieniałyśmy je. Chodziło o to aby nie dać wypchnąć się z kolejki, bo w momencie przywiezienia przydziału – działo się piekło. Tadżyczki walczyły jak lwy. W tym czasie Stryj pojechał do Wrewskaja, gdzie było miejsce postoju części wojska armii gen. Andersa.

Jednego dnia gruchnęła między Polakami wieść, że w czasie zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia na peryferiach Samarkandy w szopie, pasterkę odprawi ks. Cieński wracający z lagrów. Tego dnia każdy trzymający się jako – tako na nogach tam był.

Trudno opisać ten tłoczony się obdarty tłum. Ale gdy teraz wspomnę moment wejścia księdza, gdy ludzie niemal krzycząc śpiewali kolędę Bóg się rodzi – po kilkudziesięciu latach – mam dreszcze. Niestety to trwało krótko, pani Kielarowa zachorowała na tyfus płamisty, a dzięki gospodarzom dostała się do szpitala. Tyfus szalał, trupy leżały na ulicach, a jeżdżący arbami nie nadawali ze zbieraniem ich.

Czas płynął, Bogu dzięki pani Kielarowa wracała do zdrowia. Niestety przed Jej powrotem zachorował Janusz. Stan Jego był bardzo ciężki, doszły komplikacje, ale gdy Matka wróciła, Halinka ukryła fakt jego śmierci przed Matką, mówiąc że Janusz pojechał do wojska.

My trzymałyśmy się razem. Czasem sporadycznie udawało się nam z Halinką dostać pracę, przeważnie noszenie worków 50 kg z ryżem, czy pszenicą. Po powrocie chcieliśmy tylko położyć się spać. Jeszcze w zimie Mamusia dostała wezwanie do stawienia się w Leninabadzie jako przedstawiciel rządu polskiego. Chodziło o zorganizowanie opieki nad Polakami tam przybyłymi z północy.

Pani Kielarowa została zatrudniona w przedstawicielstwie polskim na miejscu. Pożegnałyśmy się, by się niespodziewanie spotkać po paru miesiącach zupełnie gdzie indziej. W Leninabadzie zamieszkałyśmy z innymi Polakami w byłym meczecie, gdzie przychodziły dary z USA tzn. żywność i ubrania. To wszystko było dzielone przez pracowników delegatury między Polaków.

Nareszcie po ugotowaniu czegoś w puszce na cegłach można było się najeść i popić prawdziwą herbatą z mlekiem kondensowanym. Niestety szybko znowu zaczęły się psuć stosunki polsko – sowieckie.

Były nieporozumienia na tle utrzymania wojsk polskich, potem wyjścia ich do Persji, różnice zdań między gen. Sikorskim a gen. Andersem itd.

No i 20.VII.1942 roku cofnięto zgodę na istnienie delegatur ambasady i aresztowania pracowników. Ten dzień to był dla mnie koniec świata.

Nad ranem splakana zasnęłam, a wkrótce obudził mnie silny ból i równoczesne walenie do drzwi. Okazało się, że przyszli po mnie na przesłuchanie do NKWD i powiedzieli, że ugryzł mnie skorpion więc mam wysysać krew i wypluwać, aby nie doszło na zakażenia.

W NKWD trzymali mnie do wieczora, dali do podpisania kartkę od Mamusi, która przekazała mi kilkadziesiąt rubli, które miała przy sobie, Zadawali dziesiątki pytań, ale ja nie miałam im nic do powiedzenia.

Po 10 dniach poprosiłam, aby mi dali komandirówkę na kupno biletu, ponieważ chcę pojechać do Stryja do Wrewskaja. Odmówiono mi i powiedziano abym przyjęła obywatelstwo rosyjskie, nie miałam żadnych dokumentów, ponieważ zabrano nam w Przemyślu.

Odmówiłam, a jeszcze wcześniej zorientowałam się, gdzie jest dworzec, kiedy jest pociąg do Wrewskaja i jaka jest szansa dostania się do niego, ponieważ pociągi były bardzo pilnowane. Po 14 dniach „wizyt” na NKWD przeszukałam nasz pokój, znalazłam 2 kawałki szarego mydła, paczuszkę herbaty i w nocy poszłam na dworzec. Schowana w kąciku czekałam na potrzebny mi pociąg. Gdy nadjechał pilnowany przy każdym wejściu, po pewnym czasie zobaczyłam na końcu otwarte wejście do wagonu, a że byłam boso, cichutko biegiem wpadłam do wagonu.

Siedziała tam tylko jedna kobieta z wieloma tobołkami. Bałam się ze strachu oddychać, ale to był Człowiek. Zapytała mnie kim jestem, a gdy powiedziałam Polka – pomogła mi wejść na półkę i pozakrywała swoimi tobołkami. Nie wiem po jakim czasie zbudziła mnie, kazała szybko uciekać do ubikacji i tam cicho siedzieć. Wkrótce usłyszałam jej krzyk : „Tam siedzi chora na biegunkę, zostawcie ją w spokoju”.

Po dłuższym czasie uspokoił się hałas, ucichły kroki, a ja pomalutku otworzyłam drzwi; wtedy silna ręka chwyciła mnie za kark i pociągnęła do jakiegoś pomieszczenia. Trafiłam się kolejnego porządnego człowieka – kierownika wagonu. Wypytał mnie o moje plany, powiedział, że zabiera mój woreczek z mydłem i herbatą, a mnie przeszwarcuje do Wrewskaja.

Uprosiłam aby mi zostawił kawałek mydła i według rozkazu weszłam pod jego pryczę, a po 10 godzinach usłyszałam Wrewskaja udiraj. To był następny dobry człowiek. Wyskoczyłam i szybko znalazłam się w tłumie Polaków wojskowych i cywilów.

Od razu dowiedziałam się , że za 3 dni odchodzi ostatni transport do Persji, że mój Stryj jest ciężko chory na tyfus brzuszny, ale choć nie wolno – jego koledzy prof. inż. Shalmowski i inż. Cholewo Go jakoś przewiozą, a ja muszę też wejść na listę, ponieważ we Wrewskaja mnie złapią i wyślą na północ. Dali mi parę rubli, abym sobie coś do jedzenia kupiła na bazarze.

Najpierw poszłam po poradę do księdza, który powiedział abym wyjeżdżała i nie rozpaczała za Matką, ponieważ ona jest więźniem politycznym, rozmowy się toczą; wyjdzie z więzienia i będzie pod opieką ambasady. Każdy mi mówił ratuj się. W ten sposób znalazłam się na liście transportu okropnie zdenerwowana i chora na tropikalną chorobę.

Wolno było wziąć 20 kg na osobę, a że ja nie miałam nic, znajomi dali walizkę do niesienia. Tak dojechalśmy do Krasnowodska, a następnie kilka (chyba) kilometrów szliśmy piaskiem do portu, gdzie stały węglarki mające nas przewieźć na drugą stronę morza Kaspijskiego. Dostawaliśmy suchy amerykański, czy angielski prowiant, biały chleb, dżem, rostbeef, a że byłam chora i jeść nie mogłam, więc panie będące koło mnie prosiły, aby im pożyczyć, ponieważ swoje już zjadły, a one mi oddadzą w Pahlevi – zresztą na dzisiejszy dzień. W Pahlevi żony lekarzy i innych oficerów poszły do namiotów, a szary tłum do czegoś, czego nazwy nie znajduję. To były 4 słupy , na których był dach z liści palmowych.

Kładliśmy się tam pokotem , ja z jednej strony koło Halinki i jej Mamy, z drugiej obok kobiety – cuda. Nazywała się Ostroróg , była chyba 20 lat starsza, silna i gdy były dyżury jak np. noszenie wiader z jedzeniem nigdy nie pozwalał mi dźwigać, a gdy przyszła Zosia B. po walizkę, którą przewiozłam przez granicę, a którą mi zresztą jej rodzice dali w czasie mojej nieobecności – nie oddali jej. Ja dałam natychmiast mimo wielkiej nieuczciwości, ale uraz mi został.

Obie z Halinką otrzymałyśmy pracę w ewidencji ludności na nocną zmianę, co było wspaniałą rzeczą, ponieważ płacono nam po parę tumanów, siedziałyśmy w namiocie gdy była pora deszczowa i u nas było mokro. Ja sobie od razu kupiłam pantofelki, z których byłam niesłychanie dumna. Bardzo szybko zostały zorganizowane transporty autobusowe do obozów w Teheranie i obie z Halinką znalazłyśmy się w jednym z nich, obie chore na malarię, ale jechałyśmy. Gorzej było z jej Mamą, która zachorowała na tyfus brzuszny i została zabrana sanitarką do szpitala w Teheranie.

My znalazłyśmy się w przepięknym parku - obozie pod Teheranem w Jusuf Abad. Był to Obuz Uchodztwa Polskiego N° 3.

Na nasze szczęście Pani Ostroróg była z nami. Ja postarałam się od razu o pracę na poczcie polowej i tak po pracy między atakami malarii chodziłyśmy z Halinką do szpitala do Jej Mamy i mego Stryja. Mój Stryj przychodził do siebie z dnia na dzień, niestety Mama Halinki ginęła w oczach i zmarła. Mimo starań, karmienia dietetycznie ludzie marli masowo. Tego opisać się nie da. Moje ataki malarii przybrały takie rozmiary, że w końcu wylądowałam w izbie chorych, gdzie godzinami ocierała mi pot, czy w gorączce wachlowała, niezastąpiona pani Ostroróg.

W tym czasie zaczęto likwidować obozy, rodziny z dziećmi były wysyłane do Afryki, sieroty do Indii, a następnie Nowej Zelandii, młodzież i młode kobiety do Pomocniczej Służby Wojskowej, starsi panowie nie nadający się do walki do Egiptu, gdzie pojechał mój Stryj.

Jeszcze w międzyczasie chodziłam do „zielonej szkoły” – na ceglanych deskach, na których się siedziało i słuchało wykładów. Staralam się polapać co się da. Jednego dnia dostałam zaproszenie do ambasady jako córka aresztowanej w lecie 1942 przedstawicielki delegatury polskiej. Tam od ambasadora Kota otrzymałam zasiłek i wiadomości o trwających rozmowach w sprawie zwolnienia aresztowanych.

Po wyjściu z ambasady spotkałam Panią Rogowską, która była z nami na północy. Zabrała mnie do siebie do domu. Jej mąż wrócił z lagrów i był dyrektorem szpitala w Teheranie. Oboje okazali mi niezmiernie dużo serca, ona przyniosła rzeczy, które miała na przechowaniu, ubrała mnie, z numerem mojej nogi pobiegła do sklepu, wróciła z cudownymi sandałkami, a w końcu poszła ze mną do fryzjera, tak że w ciągu kilku godzin przeistoczyłam się w inną osobę.

To był niesamowity dzień, byłam dosłownie na pół przytomna z wrażenia. Niestety widzieliśmy się tylko kilka razy, ponieważ zmiany następowały błyskawicznie i więcej już tych wspaniałych ludzi nie spotkałam. W końcu przyszła kolej i na nas. Zostałyśmy przyjęte do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet; przeniesione do obozu N° 4, a stamtąd po indywidualnych rozmowach, podzielone na grupy po paru dniach jechałyśmy wzdłuż pardesów czyli gajów pomarańczowych, a że

był właśnie czas zbioru pomarańcz – z samochodów wiozących pomarańcze rzucano do nas te cudowne owoce, co nas wprowadzało w zachwyt i radość.

Samochody zatrzymały się na trasie między miejscowościami Rehovot a Barbaza, gdzie były już przygotowane dla nas namioty, przy wejściu do których były przyłączone spisy mieszkańek, wobec tego bardzo szybko znalazłyśmy się na swoich miejscach.

Blisko nas było miejsce postoju Brygady Karpackiej przygotowującej się do wyjazdu i walk między innymi pod Tobruk.

My kobiety przechodziłyśmy kurs militarny, codzienne ćwiczenia.

Stale dochodziło do walk między Żydami, a Arabami i w związku z ostrym pogotowiem nie wolno było oddalać się z obozu. Z naszych planów zwiedzenia Ziemi Świętej nic nie wyszło, raz mnie i Halinkę zabrano do Tel – Avivu.

Codziennie wieczór był apel na zakończenie którego śpiewałyśmy „wszystkie nasze dzienne sprawy”. Nie pamiętam którego kolejnego dnia na zakończenie apelu usłyszałyśmy: „bacność”, a dalej wiadomość, że natychmiast pakujemy się w tajemnicy i absolutnej ciszy, ponieważ to był czas panowania Niemców na morzach, a jak się później okazało, nas 200 jechało do Suez, gdzie miałyśmy wsiąść na statek płynący w konwoju do Anglii.

W nocy w absolutnej ciszy w pełnym uzbrojeniu z motorówek po drabinkach sznurkowych wdrapywałyśmy się na duży zaciemniony statek.

Wszystko było zaplanowane do centymetra. Zeszłyśmy w dół statku, gdzie były długie stoły i ławy, do siedzenia w dzień, na noc miałyśmy włączyć do hamaków, które wisały nad każdym siedzeniem. Statek stał, była cisza. Następnej nocy usłyszałyśmy szum motorów – statek płynął, a wkrótce okazało się, że siedzenie, czy spanie to teoria, tak częste były naloty i ataki na konwój.

Każda grupa wojsk miała swoje miejsce na pokładzie, gdzie miała się stawić na alarm. Zaraz po wyjściu z Suez przez megafony ogłoszono, że członkowie poszczególnych grup wyznaniowych mogą stawić się w swoich kaplicach, by otrzymać rozgrzeszenia in alticulo mortis.

Jeszcze w Egipcie poznałam Basię Jagielską i Hanię Sołtysik, z którymi bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Alarmy były częste, statki z konwoju płonęły, tonęły, trwały akcje ratunkowe, a my tak chorowałyśmy, że nie wiem co było silniejsze, strach czy zmęczenie torsjami.

Im bliżej Anglii, tym ataki były słabsze, aż wreszcie statek zacumował w Liverpool`u. Quin Elisabeth dowiozła nas szczęśliwie.

Czekał na nas 200 Polek pociąg, tak, że przy wspaniałej organizacji w ekstra tempie jechałyśmy do miejsca przeznaczenia. Była to miejscowość North Berwick leżąca nad morzem Północnym, pełna wojska, strefa graniczna strzeżona z obawy przed Niemcami. My przechodziłyśmy drugi

11/17

stopień kursu militarnego łącznie ze strzelaniem. Tam odnalazł Halinkę i mnie Jasiek Mosiewicz, który w prezencie przywiózł nam po parze pończoch i zaprosił do baru na „fish & chips”, co było jedyną rzeczą bez kartek. Byłyśmy zachwycone, opowiadał nam w jakich akcjach brał udział, byliśmy z Niego dumne.

Wkrótce odnalazł mnie brat mojego szwagra, jako że wszędzie w każdej jednostce były wywieszane spisy przybywających. Halinkę odnalazła Jej ciotka, która otrzymała zezwolenie na przeniesienie Halinki do polskiej szkoły na kurs maturalny. Basia Jagielska, Hanka Sołtysik, Hanka Schlotter, ja i kilka innych zostałyśmy skierowane do pracy w Centrum Wyszkożenia Technicznego i Pancernego.

Obóz mieścił się około Derlington. Pracowałyśmy tam w sztabie w trójkę: Basia J. , Hania S. i ja. W sąsiednich biurach pracowały jeszcze Hania S. i jako telefonistka Jasia Ż., a pozostałe 15 w magazynach i kuchni.

Uczono nas tam angielskiego i wszystkich możliwych prac biurowych, a sierżant szef był tak bardzo wymagający i rygorystyczny, że osiągał bardzo dobre wyniki. Tam wróciła mi malaria, więc po kilku silnych atakach odesłano mnie karetką do pobliskiego szpitala polowego.

Zastosowano mi końską kurację, po której wystąpiły problemy z żołądkiem i wątrobą, ale malaria minęła bezpowrotnie i wróciłam do pracy do obozu. W Centrum było 5 tysięcy polskiego wojska, około 1 tys. angielskiego, a na koniec przyjechali Włosi.

Wszyscy byli przygotowani do inwazji, pewna grupa tzw. cichociemnych, lecących w pewnych odstępach czasu do Polski. Był wielki rygor, wszyscy żyli wojną, wiadomościami z frontów i Polski. Była wielka dyscyplina , co nam bardzo odpowiadało, a w biurze stosunek do nas był bardzo życzliwy, wręcz opiekuńczy.

We wrześniu 44 r przyjechała kontrola z Komendy Głównej PWSK w efekcie której Basia J. , Hania S. i ja zostałyśmy przeniesione do pracy do Londynu w Biurze Opieki nad Żołnierzem przy Sztabie.

Przed wyjazdem było serdeczne pożegnanie i awans na lence corporal.

Już 9.X.44 r wylądowałyśmy w Londynie, zakwaterowane w pensjonacie dla kobiet w wojsku, który właścicielka Angielka na czas wojny oddała Polakom. Mieszkały tam dziewczęta różnych broni, pracujące w Londynie.

Miałyśmy piękne amerykańskie mundury, ale marny żołd, z którego trzeba było się utrzymać. Małe grupki radziły sobie jak mogły. U nas ja byłam kasjerką, chodziłyśmy kupować coś najtańszego na kartki, a codziennie inna gotowała z tego co się dało i potrafiła, oczywiście wieczorem po pracy.

Do biura dojeżdżałyśmy kolejką do Stacji Victoria, a był to czas bombardowań Londynu bombami V1 i V2. Jedna bomba niszczyła duże połacie miasta , szczególnie dzielnice fabryczne, położone nad Tamizą.

Sam podmuch z dala od centrum wybuchu ścinał części kamienic. Z Londynu były ewakuowane dzieci, młodzież, muzea, a wszystko w imponującym spokoju i dyscyplinie. Po nalotach natychmiast trwały prace porządkowe. My nauczyłyśmy się tego spokoju i opanowania i na odgłos syreny alarmowej tak, jak Anglicy nie przyspieszałyśmy kroku.

W tym samym biurze co my w tzw. Vandou House pracowała społecznie wdowa po gen. Sikorskim - pani Helena Sikorska, która okazała nam dużo serca i w mundurze jak my poetka Beata Obertyńska, która wróciła z łagrów. Pani Helena Sikorska zaprosiła nas 3 do siebie do domu kilkakrotnie a 24.XII na wigilię. Była tam ogromna choinka pięknie ubrana, a pod nią upominki dla wszystkich gości i dla nas też. Bywały tam znakomitości, przede wszystkim naukowcy.

Następnie pani Sikorska załatwiła nam wyjazd do polskiego gimnazjum w Szkocji. Były tam, ucząc się normalnie dziewczęta, którym zaraz na początku wojny, różnymi drogami udało się z rodzicami uciec do Anglii. My byłyśmy starsze z różnymi obciążeniami. Ponieważ nie miałyśmy żadnych świadectw, ja tylko zaświadczenie z gimnazjum w Teheranie, musiałyśmy się uczyć nocami, aby stopniowo pozdawać egzaminy z każdego przedmiotu.

Tam doczekałyśmy się dnia zakończenia wojny, co ogłoszono nam na apelu. Przez cały pobyt tam, na mszy św. w kaplicy śpiewałyśmy: „O Panie któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń...”

Moja tęsknota i niepokój o Rodziców w Rosji, rodzinę w Polsce trudno wyrazić. Basia i Hania miały Rodziców i rodzeństwo młodsze w Afryce, Basia bała się o swojego starszego brata, który poleciał jako cichociemny do Polski. Żeby było weselej stan moich uszu tak się pogorszył, że wysłano mnie do szpitala w Aberfeldy z prośbą o decyzję. Tam stwierdzono, że muszę natychmiast opuścić Szkocję i na południu przejść trepanację czaszki.

Pierwsze, wróciłam do Londynu, do mojej dawnej pracy bo okazało się, że nie ma warunków ani możliwości, by myśleć o operacji. Raz na parę dni w ośrodku oczyszczano mi uszy. Jeszcze przed wyjazdem do szkoły poznałam u koleżanki z pracy mojego późniejszego męża. Równocześnie oświadczył mi się mój szef, bardzo zamożny pan i M.A, który był biedny jak mysz, który brał udział w wojnie w konwojach od pierwszego do ostatniego dnia – na początku kończąc Szkołę Morską w Southampton.

W ostatnim rejsie przed zakończeniem na zbombardowanym statku był ranny i stracił wszystko, ale był wspaniałym człowiekiem i bardzo Go kochałam. Miałam opory w związku z uszami, ale Jemu to nie przeszkadzało, próbował załatwić lekarza, leki.

5.XI.45 r wzięliśmy ślub, najpierw cywilny, a zaraz potem kościelny w kościele Polskim na Devonian Road.

Nie chciałam brać ślubu w mundurze więc Basia , Hania i panie z biura ubrały mnie elegancko, swoją miałam bieliznę, buciki i stosowanie do przesądu angielskiego: coś nowego, coś starego, coś pożyczonego, coś niebieskiego i coś srebrnego.

Koleżanki kupiły mi storczyki, które przypięły do pożyczonej od p. Pano pelerynki i zdobyły dużą puszkę herbatników na „wesele”.

Byłam szczęśliwa, a równocześnie bardzo mi było ciężko, bo nie tak wyobrażałam sobie swój ślub. Po ślubie cywilnym poszliśmy do kościoła, a tam zobaczyliśmy coś, co nas podniosło na duchu. Były tam moje przyjaciółki, pani Helena Sikorska z wdową po adiutancie swego męża, brat mego męża, brat mego szwagra i dosłownie całe „moje” biuro.

Mój mąż zamówił skromny ślub, tymczasem panowie z rodziny porozmawiali z księdzem rektorem Staniszewskim i w jednym momencie p. Sikorska i pozostali goście zostali zaproszeni do wspaniałego gabinetu, a kościół ukwiecony i przy grających organach podeszliśmy do ołtarza.

Potem w pokoju, który wynajął nam jeden z moich szefów spotykali się wszyscy, którzy chcieli nam złożyć życzenia, moje przyjaciółki, obaj krewni, szef najwyższy mego biura płk Mniszek, delegacje z komendy Głównej PWSK, znajomi. To wszystko przy herbacie i herbatnikach i niewielkiej ilości alkoholu (nie mieliśmy kieliszków) tak, że na koniec zabrakło i herbaty i herbatników.

Zaraz po zakończeniu wojny zaczęłam szukać przez P.C.K moich Rodziców i napisałam do Przeworska do mojej Siostry, a mój Mąż do Matki. Stosunkowo szybko dostałam adres Mamusi, a o Ojcu śladu nie było. Mnie i Halinkę K. zaprowadzono do pomieszczenia, gdzie na czarno okrytym stoliku leżała księga – spis zamordowanych Polaków w Katyniu. Halinka znalazła tam nazwiska i dane swojego Ojca , ja nie.

Dowiedziałyśmy się wtedy, że to nie Niemcy, lecz Sowieci pomordowali tysiące Polaków więzionych poprzednio w Starobielsku, Charkowie i innych miejscach.

Pisałam do Mamusi i zawiadomiłam Ją o moim ślubie i posłałam co możliwe.

Gdy zaczęły kursować statki otrzymaliśmy wiadomości od mojej rodziny i Teściowej. W związku z powstaniem w Polsce rządu komunistycznego sytuacja Polaków stawała się z dnia na dzień coraz bardziej przykra, część Anglików propagowała powrót do Polski, część nie – szybko zostały zapomniane bohaterskie loty dywizjonów 302, 303, 304 i innych Tobruk , Gazala , Monte Cassino , inwazja Francji , walki w Belgii , Holandii , konwoje morskie , w których statki polskie szły na dno. Zresztą między Polakami też – jak zwykle zgody nie było.

Mój Mąż studiował, ja spodziewałam się dziecka i pracowałam normalnie do momentu , kiedy straciłam władzę w rękach i bardzo chorowałam.

Wtedy otrzymałam zwolnienie z wojska, jak napisano „honorowo”. Dostałam też 2 brytyjskie medalę. Było nam bardzo ciężko finansowo, ponieważ kilka miesięcy do urodzenia Basi nie zarabiałam, mieliśmy tylko stypendium mego Męża i to co udało Mu się zarobić wieczorami.

Był w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ dodatkowo musiał mnie nakarmić, pomóc umyć się i ubrać, ale był bardzo ciepły i troskliwy.

Po urodzeniu Basi w szpitalu Westminsterskim wszystkie dolegliwości się cofnęły, a po powrocie do domu moi byli szefowie postarali mi się o dorywczą pracę, więc przy dziecku zmienialiśmy się.

Nigdy nie zapomnę pierwszej wypłaty po urodzeniu Basi, kupiłam mojemu Mężowi koszulę ciemno niebieską, taką jak Jego oczy, byłam nieprawdopodobnie szczęśliwa i pamiętam ją do dziś. Nasze gospodarstwo to były mego Męża 2 szklanki, 2 talerze i sztućce na 2 osoby, ja nie miałam nic.

Po urodzeniu Basi otrzymałam jak każda kobieta rodząca dziecko w Anglii zasiłek, za który kupiliśmy wózek, łóżeczko, 2 garnuszki i parę drobiazgów, wyprawka była z PCK. Moja Siostra okazją przysłała na chrzest luksusową sukienkę – płaszczyk, co w naszych warunkach wyglądało wręcz niesamowicie. Matka chrzestną była Basia J., a chrzest odbył się w Katedrze Westminsterskiej. Wkrótce odbył się ślub Hani S., na którym byłam, a mój Mąż dyżurował przy Basi.

Sytuacja była coraz bardziej skomplikowana, moja Teściowa pisała stale, że potrzebuje opieki, ma bardzo wysokie ciśnienie, więc mamy wracać do kraju, by się nią zaopiekować. Dwaj starsi bracia mego Męża kategorycznie odmówili powrotu wyjeżdżając do USA. Gdy moja Mamusia wróciła z ZSRR do Polski z domem dziecka, opiekując się dodatkowo sierotami Elą i Zygmuntem tęsknota przeważała;

W 1947 r. wróciliśmy do polski, nawiasem mówiąc w najgorszym z możliwych okresów – o czym wtedy nie wiedzieliśmy. Mój Mąż dostał jeszcze w Anglii pracę w ówczesnym PAL. Nie spodziewaliśmy się cudów, ale pieniędzy za tzw. urlopy wojenne nie otrzymaliśmy, a opłacaliśmy remontowane zburzone w czasie wojny mieszkania, karę za niefortunne posunięcie za siebie i kilka innych osób.

Wkrótce otrzymaliśmy wysiedlenie z Wybrzeża, co w tym czasie było nagminne w stosunku do wracających z zachodu. To udało się załatwić, dzięki pomocy ówczesnego dyrektora P.L.O.

Niestety wkrótce przyszedł nakaz „z góry” by zwolnić szereg osób z pracy, w tym mego Męża.

Trzeba przyznać, że PLO lawirowało długi czas, część osób trzymali w pracy w porcie, na małych stateczkach tak, jak mego Męża.

Spokoju nie było, stale wezwania na przesłuchania na UB, po których wracał zupełnie wykończony wielogodzinnym przesłuchaniem i groźbami.

W styczniu 1953 r z Warszawy przyszło kategoryczne żądanie zwolnienia definitywnego kilkunastu osób, w tym mego Męża.

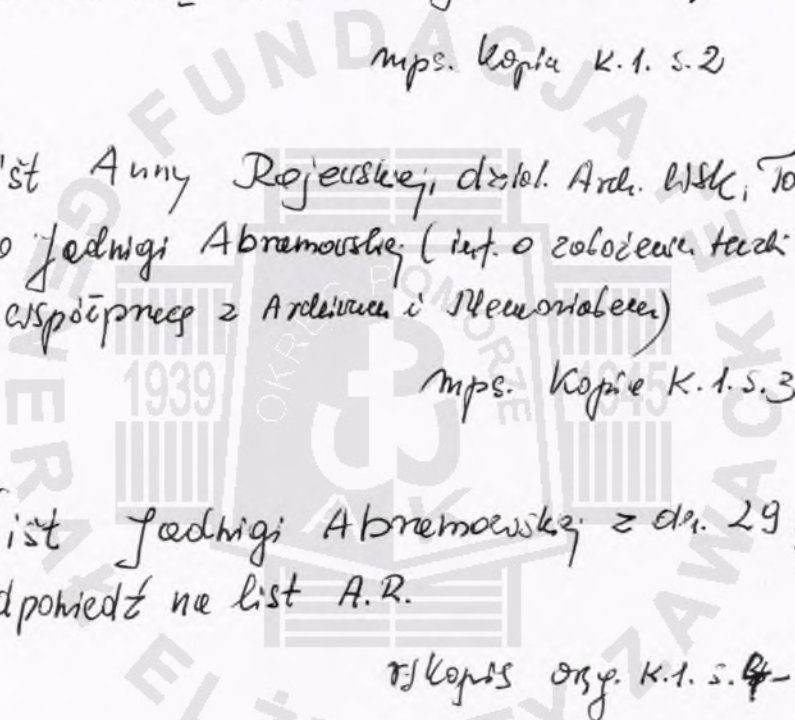
Wypowiedzenie doręczono do domu. Wtedy było już dwoje dzieci, moja trepanacja czaszki. Do 56 r. do tzw. rehabilitacji było niewesoło, bardziej, aniżeli ktoś mógłby przypuścić. Byliśmy wyobcowani, ponieważ wiele osób ze środowiska Męża bało się kontaktów z nami. Na to wszystko mam dowody: różnego rodzaju donosy, anonimy, które dzięki życzliwym ludziom ocalały – nie zdążono ich spalić.

Potem wiele się zmieniło na korzyść, choć uraz i strach pozostał na długie lata, ale to już zupełnie inna historia.

JA.



IV Korespondencja

1. List Tomasza Chłuckiego, Toruń 18 XII 1997r.
do Jedygi Abramowskiej, Goleńsk
mps, kopia K.1. s.1
2. List K. Mieczkowskiej, dokumentol. Dzieln. 118k
z dn. 13 III 1998 do J. Abramowskiej
mps, kopia K.1. s.2
3. List Anny Rojewskiej, dzieln. Arch. 118k, Toruń, dn. 11 VII 2002r
do Jedygi Abramowskiej (inf. o zbrodniach tech. osób. prośba
o współpracę z Archiwum i Muzeum) 
mps, kopia K.1. s.3
4. List Jedygi Abramowskiej z dn. 29 VII 2002
odpowiedź na list A.R.
Kopis oryg. K.1. s. 4-5

IV/1

FUNDACJA
Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 271-86
87-100 TORUŃ

Toruń, 18.12.1997.

Loh 09891 WSK/92

kopia

Pani Jadwiga Abramowska

ul.

Gdańsk-Zaspa

Szanowna Pani!

Bardzo dziękujemy za przesłaną do naszego Archiwum relację z Pani służby wojennej w Pomocniczej Służbie Kobiet i 3 fotografie. Założyliśmy Pani teczkę osobową /sygn. 723/WSK/.

Prosimy o przesłanie adresu i informacji dotyczących służby wojennej Pani koleżanek dla uzyskania dalszych relacji.

Zapraszamy Panią do członkostwa w Koście Przyjaciół "Memoriału gen. Marii Wittek" i o podpisanie załączonego druczku.

Dokumentalista

mgr Tomasz Chincinski

Załączniki:

- 1 Komunikat 1-4
- 2 Ulotka o WSK
- 3 Zgłoszenie do Koła Przyjaciół Memoriału.

IV/2

Toruń 13.III.1998r.

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 271-86
87-100 TORUŃ

„Memoriał Gen. Marii Wittek”

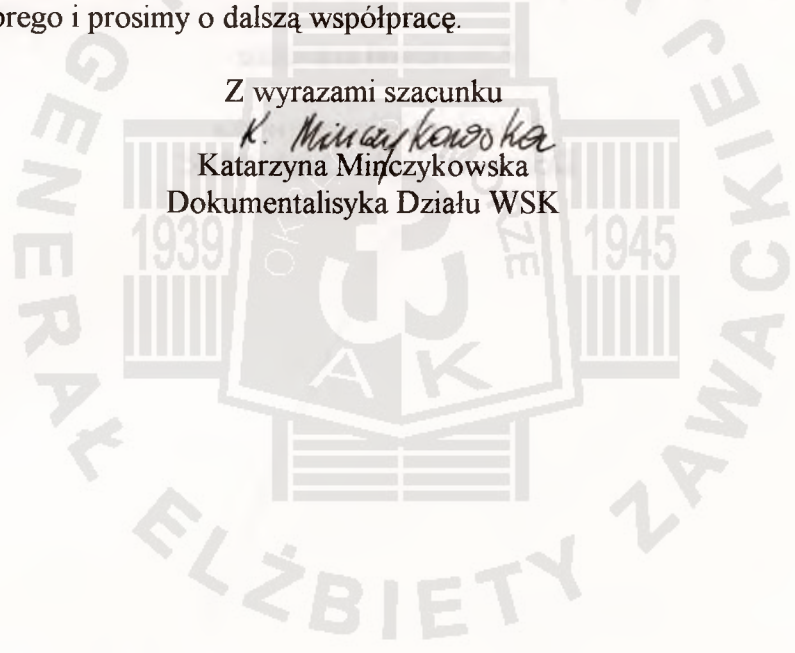
222 / WSK / 98

Pani Jadwiga Abramowska
Gdańsk-Zaspa, ul

Szanowna Pani !

Bardzo dziękujemy za przysłanie do naszego Archiwum relacji Anny Sołtysik-Lipińskiej. Załączyliśmy Jej teczkę osobową nr 924/WSK.
Do Pani Lipińskiej napiszemy osobno.
Życzymy wiele dobrego i prosimy o dalszą współpracę.

Z wyrazami szacunku
K. Mińczykowska
Katarzyna Mińczykowska
Dokumentalistyka Działu WSK



MEMORIAŁ
General Marii Wittek

Toruń, dnia 11 VI 2002r.

1.dz.2550 WSK 2002

Pani Jadwiga Abramowska
ul.
80- 463 Gdańsk- Zaspą

Kopia

Idist

Wielce Szanowna Pani,

Uprzejmie informuję, że w Fundacji Archiwum Pomorskie Armii Krajowej w Toruniu w dziale Wojennej Służby Kobiet /WSK/ ma Pani założoną teczkę osobową o numerze inwentarza 723/WSK na rodowe nazwisko Ryczak, zam. Abramowska. Jestem dokumentalistką zajmującą się opracowywaniem dokumentów ze służby wojennej kobiet-żołnierzy z PSK, także kontaktami z Kombatantkami mieszkającymi na Wybrzeżu. Porządkując dokumenty w Pani tezcze zapoznałam się z interesującą relacją, byłam również zachwycona zdjęciami, szczególnie uroczą Panią. Ubolewam, że brakuje bieżącej korespondencji od 1998r. Na zdjęciu grupowym obok Pani jest Halina Kielar, zam. Lubelska. Czy oprócz zdjęcia i wspomnień, gdy wyjechałyście z ostatnim transportem gen. Andersa do Iranu, posiada Pani więcej informacji o Niej? Czy Maria Sołtysowa z domu Ryczek jest Siostrą Pani? Z wdzięcznością za pomoc charytatywną w czasie wojny wspomina Marię Sołtysową, Pani danuta Mikuszowa, mieszkająca w Zabrze, która współpracuje z naszym Archiwum. Jeśli jest to możliwe, to bardzo proszę o więcej informacji o osobach z którymi była Pani związana losami wojennymi. Proszę też napisać coś o sobie. Jestem zaniepokojona tak długim milczeniem Pani, czy jest spowodowane sprawami osobistymi, zdrowiem?. Tak bardzo pragnę by nasze kontakty były przyjazne. Wysyłam Pani materiały informujące o działalności Fundacji i Memoriału General Marii Wittek. Życzę wiele zdrowia i zapraszam do współpracy z naszym Archiwum i Memoriałem.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Anna Rojewska

mgr Anna Rojewska

Ldz 25 50 WSK

IV/9

29. VII. 2002

Wpłynęło dnia 31.07.
Ldz 2557 WSK 9002
D.V.

Genożna Pani! + wstawić

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam otrzymany od Pani list oraz z materiałami informacyjnymi o działalności Fundacji Mennich im. gen. Marii Wittich. Nie odzywałam się do tego pomieszczenia przez ostatnie lata przeżyłam ciężką chorobę, a teraz po wyjściu z szpitala (stałam w łóżku) jestem w domu po wypisaniu ze szpitala (stałam w łóżku) przez ciężką chorobę moją żonę i po wielu niespełnionych obietnicach od nas. Ostatni rok to choroba nowotworowa oraz z operacji mojej siostry. Jeżdżę do niej codziennie do szpitala, przeżywając co jasne i zrozumiałe, gdy bieżąca praca do domu - mój organizm od czasu postawienia na nogi. Teraz żyję z nadzieją, że wszystko będzie dobrze. Pan Bogusław, ja teraz odpowiem na Pani pytania. Marie Sotysowa to moja siostra mieszkająca w Gdańsku - Wzgórzu. Wojnę przeżyła w swoim miejscu zamieszkania, pomagając także innym. Danusi Moberic - Mikulajczyk. Ta ostatnie

to koleżanka, znowu mojej siostry, a ^{IV} teraz zapomniałam
nazwiska. Niewiele było tego i czas trwał
miej o osobisty kontakt. Z Halińskiego Kielar Lubelskiego
przejrzyliśmy razem rękę - Kapechstan, gdzie
siostra brata bliźniaka, potem trochę przedstawiła
się na południe, potem Kieherau - rajsko, tam na
tyfus zmieszka jej matka, jeszcze bystryński razem
przy różnych malariach, wierzonych i t.p. wopis
rajsko w Anglii nosi rozobielito i mofizistka. One
niezwykle w Londynie, jestedny w kontakcie his-
torym. Późniejże moje taronyżni to Schröder
Anna / nie znamy jej / Jagielska - Dobrycka
Barbara / Kralion / Sostysik - Lipiniska Anna / Londyn
Mama wopis z rydzgu rozważa dziennego dotyczący
mas przemienionych do Londynu. Na wiec czy to
sens, ale zrozozem, jeśli nie, proszę przypomnieć.
Jeśli chodzi o mnie, mam 1 grupę i niezaladżko,
ile mogę pomogam córce, jestem schorowana na
wielkie sposoby, ale jech lekarze traidyż jestem z
przedrojenego żelaznego materiału. Proszę doro-
zeć mi, ale popobrzył mi się rziole, ale bardzo
się staram. Bardzo chciałabym kupić książki, Służba
rojemna kobiet nie fronted « wojny wictoryj, ale nie
wiem w którym tomie jest moje nazwisko.
Z czego chce dziękuję za miły list, nie on
alle mnie kilka zwrócić.

Z wyrazami szacunku

Jedynka Krakowska

T. 723/1684

PSK

RYCZAK Jodhige

Zam. Abramasku

Wypisy ze źródeł
niezmielone karty informacyjne

i

T. 723/1684

PSK

ABRAMOWSKA Yedniqa (1945)

z d. Ryczek

Ur. 4 1923r., Dolina woj. Stanisława

13 12 1940r. z rodziny wywieziona do Kazachstanu.

W 1942r. wstąpiła do Armii Andersa (Tren)

Od września 1943r. znalazła się w Szkoli

szkolenia w Centrum Wyszkolenia Pancernego i Technicz.

Przeniesiona do pracy w Biurowie Optyki nad
Zołtorem w Londynie. Otrzymała Defence
Medal i War Medal

A. Roj 2015

Zob. Rel. T. 723/1684

T. 723/WOK

PSK

RYCZAK Jacek
22m. Abramowska

VI. Fotografie

1. zdj. legitym., w mundurze, pierścionek, [b.o.]
oryg., (4x5,2) szt. 1
2. zdj. okupacyjne, stoi w mundurze, [b.o.]
oryg., (8x12,5) szt. 1
3. zdj. grupowe, druga od lewej, [b.o.]
oryg., (16x12) szt. 1

J. Świątaj, 2015r.

1. WSK

Jeczki osobowe

2. T. 723/WSK

3. oryg., 4x5,2

4.

5. RYCZAK Jadwiga
zam. Abramowska

6. N.N

7. braki inform.

8. Uwagi: opis na odwrocie fotografii



2. Świtaj. 2015 r.







Jawiga Abramowska
ochotniczka PSK







Druga od lewej Jadwiga Abramowska 2 d. Rygoska



Freccie od Lewej Helina z d. Kielar
na p. mężu dubelska zamieszkała
w Londynie. Drupe z Lewej Jadwiga
Abramowska z d. Dyczak

RYCZAK

Jadwiga

